

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 2 grudnia 1916 roku.

№ 49.

WOJENNYM SZLAKIEM.

(WRAŻENIA Z PODRÓŻY).

Znany publicysta p. W. B. w pierwszej połowie lipca r. b. opuścił Petersburg. Kreśli on cały szereg interesujących spostrzeżeń ze swej podróży. Sądźmy, że napewno wzbudzą one wśród naszych czytelników zrozumiałą ciekawość.

I.

Wyjazd z Petersburga.

Kiedy pierwszych dni lipca, wczesnym rankiem automobil wiozł mnie przez szerokie ulice Petersburga na Dworzec Finlandzki, skąd miałem wyruszyć w świat daleki.—słońce świeciło tak radośnie, jak gdyby mnie przebłagać chciało za cały ten rok mgły, nocy i wszelakiego mroku, jaki spędzić mi było sądzone w ponurej stolicy carskiej. Ale mnie nie mogło pojednać z nią nawet i słońce... Znałem zbyt dobrze już te miraży jasności, co wybliskują na moment z po za nadnewskich chmur, oświecając fałszywym blaskiem cały ów świat ohydny, lichy i szpetny, pełny wyziewów błota fizycznego i moralnego jednocześnie. Wiedziałem, jak to błoto rok cały zabryzguje odzienią i przedostaje się do dusz, wiedziałem, iż od krótkich godzin słonecznych nie schnie ono. Pozostaje, trwa wiecznie we wszystkich warstwach bytu tego miasta, tego społeczeństwa, co gorsza, w którym nagle rozmiłowały się zwiedzione serca polskie, niosąc im swą naiwną, wyłudzoną wiarę.

Ach, od wiary tej resztek, od skomleń wstrętnych, od oświadczeń obłudnych, od czelnego bezwstydu, wypierającego się codzien jeszcze, niby to dla „szczęścia narodu“, jego ideałów wobec wrogów zaciętych, maski przyjaźni nie noszących już

nawet — ach, od nich, od tych wszystkich „przejawów politycznej przezorności i taktu“, wczorajszych „wodzów Polski“, ignorowanym; zakładnikami w nieprzyjacielskim ręku dziś już tylko będących, lecz nie chcących uznać tej swej roli — od tego uciekałem z takim obrzydzeniem i z takim uczuciem ulgi jednocześnie, z jakim człowiek wyzwala się z więzienia. Nie mogło mi tam zatrzymać już nic: ani programy, ani obietnice, ani nadzieje żadne. Programy, płytkie i krótkowzroczne zawsze, zbankrutowały oddawna... Kartły, wciąż wierne im, pojąć nie mogą, iż przyszła chwila na całych, silnych, wołą mocarnych ludzi... Obietnice?! Obietnice ciśnięte, w momencie trwogi, na przynętę dla łatwowiernych dusz, obietnice szalbiercze i wykrętne — szybko stały się fałszywym wekslem bez wartości... Nadzieje?! Te z głów, najbardziej upartych nawet, wyparowały do cna wszystkie. Próżno podsyca je klika politycznych hecarzy. Poznano już ich grę nareszcie. Odwróciła się od nich nawet w Rosyi myśl polska. Grają komedię swą przed pustymi ławkami — podnieceni klaskaniem własnych klakierów i rozpaczliwą chęcią powrotu do „władzy“ w kraju za wszelką, jakąkolwiek cenę. Ale, że wrócić mogą do niej z kozakami jedynie — da Bóg, nie wróca...

O tem mówiłem z przyjaciółmi dnia poprzedniego jeszcze, gdy mnie żegnano, jak lotnika, wylecieć mającego z oblężonej twierdzy i het, da-

leko niosącego wieść — hasło: trwamy i wytrwajcie! Ale hasło to nie było dane mi od „urzędowych przedstawicieli polskich“, o nie... ani od tych, co z Polski uczynili korzącą się wobec moskali żebraczkę. Tamtych pozostawiałem przy ich dziele. Od „dzieła“ tego, od jego przewrotności — bronić dłużej duszy tłumy wygnańczego nie mogłem. Ale dusza ta już się zbudziła z oglupienia. Dur znika. Złość i głupota rosyjska dokonały tego same przez się. Reszty — polskie uczciwe dokonały serca, i tych mi żal. Opuszczałem je w ciężkiej walce, ze smutkiem, i zdala w walce tej na coś się przydam przecie. Tem pocieszałem się w chwili rozstania, to powtarzałem sobie, czując się nagle sam już o tym wczesnym ranku, wśród pustych, sennych jeszcze ulic Petersburga.

Jeśli ulice te były jednak naogół puste, na trotuarach nie widziało się bowiem jeszcze przechodniów, mimo to raz wraz, pędząc automobilem, w coraz innej dzielnicy miasta dostrzegalem tłum czarny, zbity przed sklepem jakimś, zazwyczaj na rogu. Ci ludzie nocowali tam. To były symptomata rosyjskiej „zamożności“, co „wygłodzić“ i „zniszczyć“ postanowiła nieprzyjaciół... To były symptomata rosyjskiego bezładu i nierządu, królującego nawet w stolicy państwa — a cóż dopiero na prowincyi. Te zbite tłumy czekały od wieczora na mleko, na mięso, na mąkę, na cukier, na zapalki — albo wiem i te ostatnie stały się już rzadkością.—Z najwyższym trudem zdobywano wszystko. Petersburg był prawie bez dowozu, to znaczy dowóz ten nie pozostawał od pół roku w żadnym stosunku do potrzeb olbrzymiego miasta. Niema czego zarzdrościć „sytej“ Rosyi. — „Syta“ jest ona w imaginacyi nieuleczalnie za nią pono po dziś tęskniących maniaków politycznych, Kucharka pe-

tetersburska jest odmiennego zdania, i to nawet kucharką od „bogatyh państwa”. — Matka licznej rodziny wprost załamuje ręce.

Na chleb niema kart jeszcze. Ale z dniem każdym nędzniejszy jest on i droższy, chociaż ze stęchłej maki. Mięso wołowe należy już do utopii. Mleko z wodą. Masło na wagę złota. — Maki na kluski, kaszy dostać można chyba przez wyjątkową protekcję. Więc czekają ludziska noce całe, by mieć czem przeżyć dzień... jeden dzień nieznośny jeszcze. A bieda wzrasta, a papierowe kopiejki i ruble (bez numerów) z każdą chwilą tracą na wartości. Odbija się to na nastroju Rosyi. Szemranie wszędzie. — I wszędzie te same stosunki. Brak zapobiegliwości, lichwa w dziedzinie handlu, nieuczciwość kupców i bezradność rządowa podały sobie ręce. Sposobu na to niema. O tem wiedzą już masy i coraz mocniej zaciskają pięści.

Mijając któryś z rogów, zapchały przez tłum ludzki tak, iż przejechać było trudno, słyszałem narzekania, skargi i przekleństwa. Słyszałem je nieraz już i przedtem. O, jakież mnóstwo gniewu gromadzi się stopniowo na dnie świadomości rosyjskiego ludu!.. Widzi on, iż o niego nikt nie dba. I mimo całą bierność swą, wreszcie wybuchnie. Tylko chwila jeszcze nie nadeszła. — Dziś co silniejsze — w armii; na froncie lub na tyłach, zmobilizowane ponad potrzebę istotną. Jest to sposób utrzymania żywiołów niespokojnych w korbach, ale niechno powrócą masy te do domu i jednocześnie staną fabryki amunicyi. Gorąco będzie wówczas w Rosyi... Obyż nie było w niej wtedy już naszych wygnańców. Oby żywiol najłatwiej pada ofiarą rozbestwionych tłumów... Wszakże przed Wielkanocą w Moskwie oczekiwano pogromu... Pogrom słabszych, to najzwyczajniejszy wyraz pierwotnego moskiewskiego protestu. Wyraz, że tak powiem... tradycyjny. Nad polakami, korzystającymi z „szerokiej rosyjskiej gościnności”, wisi więc niebezpieczeństwo bezustanne. Kto wie, co czeka jeszcze te liczne smutne krocie, rzucone tu przed rokiem z złośliwym rozmysłem. Są dziś na łasce Rosyi. Wydać ich na stracenie nie wolno. Z tem też liczyć się musi robota polityczna polska.

Te i podobne myśli snuły mi się po głowie podczas ostatnich chwil nad Newą. Wjechałem na „Litiejny most”. Znow trzeba czekać. Bezład na każdym kroku. Zbiły się w kupę wojskowe „powozki” i zawały drogę. Na szczęście, nadjeżdża i rozpędza je, trąbiąc ze wszystkich sił, au-

tomobil sztabowy; w nim kilku podparty oficerów i „siostr”, powracających widać dopiero z hulanki. Zwykle, miły obrazek petersburski. Świadczy on o podniosłym nastroju pewnych sfer wymownie. „Siostry” rosyjskie stały się przysłowiowe. Są wśród nich bohaterki — to prawda, ale większość... Tym rozporządzenia dowódców przypominają raz wraz, iż powinny szanować strój swój piękny i godło czerwonego krzyża. Ale to groch o ścianę. — Wre zabawa na tyłach, leje się szampian za łapówką i trwa orgia kupionej miłości. „Tak było, tak będzie” — rzekły obecny minister sprawiedliwości Makarow, który onego czasu zrobił sobie tym aforyzmem bezadziejnym sławę. Tak było, tak będzie — myśli człowiek co chwila, patrząc na życie Rosyi. Makarow był cyniczny, ale szerszy od innych.

Wreszcie jednak Wyborska Strona — staję przed Finlandzkim dworcem. O małym się nie spóźnił. Spieszę więc do pociągu. Tutaj już nie czu Rosyi. Wagony schludne, czyste, o oryginalnym typie; konduktorzy, a nawet i tragarze w zgrabnych mundurach. Pachnie Zachodem. Państwowość rosyjską reprezentują wyłącznie żandarmi. Pociąg jest „zagraniczny”, więc i języka rosyjskiego nie słychać prawie. Jadą nim „neutralni”: szwedzi, norwedzy, holendrzy, cała gromada opiekujących się dziś czule Rosyą anglików i kilku japończyków, jakaś misya specjalna, jak dowiedziałem się później. Tych pełen jest świat cały. Wypełniają sletingi, halle londyńskich hoteli i paryskie kawiarnie. — Śmieszne też, karłowate potworki są dziś u szczytu chwały. W entencie zdają się mieć poważne stanowisko. Genialnie łowią dla siebie ryby w mętnej wodzie...

Lecz oto pociąg rusza. Jedziemy wśród petersburskich „dacz” — tu latem wylega całe miasto. Krajobraz nieciekawy. Moczary i sosenki. Tak aż do rzeki Siostry. To granica Finlandyi. Tu spotykamy się po raz pierwszy z wojskowo-policyjnymi badaniami i rewizją. Trwa to koło dwóch godzin. Dokąd jedziesz pan? po co, na co? gdzie się zatrzymasz w drodze? Co robiłeś, skąd jesteś? — Takich pytań szereg, bez końca. A potem, kto szczęśliwszy — do osobnego pokoiku. Szczególniej „neutralni”. Z tymi nie robią sobie ceremonii. „Liczyj osmotr” rzuca co chwila rozporządzenie komendant i jakiegoś nieszczęśliwego holendra albo szweda wloką żandarmi do osobistych, szczegółowych oględzin. Mnie nie zaglądano nawet do kieszeni — rzecz dziwna. Nie wywoziłem

żadnych zresztą z Rosyi tajemnic — wywoziłem uczucia tylko i przeświadczenia nabyte. Tych odebrać mi na komorze nie mogli.

Od granicy, czyli od stacy Biełostrow, zaczyna się podróż przez Finlandyę, trwająca trzydzieści kilka godzin bez przerwy. Nie znam drogi bardziej monotonnej. Cała Finlandya, to jeden nieskończony las. Najprzód piaski, a potem zwały granitowe i sosny... Gdzieindziej mara łączka, jeszcze rzadkiej jakaś siedziba ludzka, zagubiona w lesie. Gdy się zbierze chat kilka — już miasteczko. Czyste, bajecznie czyste i bajecznie martwe zarazem. Chodzą po niem ludzie surowi, twardzi, jak wyciosani z drzewa — to finnowie. Twarze brzydkie, uparte, przyziemne. Ale gdy Bóg dał las i kamień tylko i kazał żyć z tego — stanie się człowiek przyziemnym siłą rzeczy. Polot na nic by nie zdał się w tych skalistych puszczech. Tu trzeba łamać wciąż naturę. I finnowie zmagają się z nią z podziwu godną mocą. Bez przesady rzec można, iż zbudowali życie swoje tylko przepotężną wolą. Byłem w Finlandyi w kwietniu — leżały jeszcze śniegi, wielkie, głębokie. We wrześniu już znow bieleć się ziemia poczyna. W listopadzie chwytają silne mrozy. Rolnictwo w tych warunkach jest niemożliwe prawie, zważywszy i na grunt kamienisty. Ma więc finlandczyk trochę siana, drwa z lasu i ryby z jezior. Tem istnieje, no i przedsiębiorczością własną. Handluje, tuła się po morzach, męczy w kamieniołomach i siłą wody poruszywszy tartaków bez liku i papierni moc całą, przerabia to jedyne swe dobro, jakie ma, na materyał, za który dają złoto. I dają go, jak widać, niemało. Zamożność jest tu bowiem powszechna. Kilkakrotnie bywając w Finlandyi, z ubóstwem, z nędzą nie spotkałem się nigdzie. Nie spotkałem się też z przesadnym wyrachowaniem, skąpstwem, Finlandczyk dzisiejszy jest naogół zamożny i żyje już dostatnio. Ale to owoc wysiłków niezliczonych pokoleń. Tak samo, jak kultura. Kultura to podobna do szwajcarskiej — chłopska, ale rzetelna i powszechna. Kultura przytem dziś już własna. — Zapożyczył ją lud finlandzki swego czasu od szwedzkiej szlachty, tak, jak litwini od nas, i równą za to szwedzkiej szlachcie zapłacił wdzięcznością. Jednakże bat rosyjski opamiętał go w porę. Pojął, iż waśnią w kraju i ciąglem szczuciem szwedów — torują drogę interwencyi Rosyi, więc opamiętał się i sflumiał nierozsądną nienawiść. Dziś szwedzi i finnowie walczą razem z naciskiem moskiewskim, któ-

ry, choć nie ustaje, rozbija się o mur zwartych piersi, mózgow i dusz. Kultura organizacji i myśli stworzyła kulturę polityczną. Więc zamachy na Finlandyę są płonne. Nie da jej

rady rząd carski. On umie niszczyć tylko. Finlandya umie tworzyć. Szanse są absolutnie nierówne.

DCN.

W. B.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARJERY.

6

Z chwilą powtórnego zamążpójścia — godziła się widocznie na utratę emerytury i na zamianę dawnego zasobnego bytu na nędzę.

A ten młody małżonek jego matki łakomiał się prawdopodobnie na jej wdowi grosz, w jego sytuacji bardzo znaczny, a w gruncie do zjedzenia bardzo łatwy; tem bardziej dla kobiety, przyzwyczajonej do wielkiego dostatku.

I Horski pojął odrazu doskonale, że teraz życie musi oprzeć jedynie na własnej pracy; na korepetycyach i na zajęciu biurkiem do czasu, aż medycynę skończy. Nie wątpił, że matka zaproponuje jeszcze jakieś zasilki, których poprzysiągł nie przyjmować. Zresztą postanowił tem wszystkim zająć się najpoważniej dopiero po przyjeździe z Jędrzejewic.

Teraz popędził do „niej“.

Wyskoczywszy z małą walizką z wagonu, ujrzał w zdumieniu ciotkę Benisę, bardzo rzadkiego gościa na stacyi. Zdawało mu się, że ziemia pod nim rozstępuje się za tym jednym nieprzewidzianym, nieoczekiwanym zamachem; całe jego incognito było więc odrazu zdradzone. Taktowna ciotka Benisia, ogromnie „tą miłą niespodzianką“ ucieszona, zapraszała go do pojazdu, który miał ich odwieść do Jędrzejewic. W powozie wpadła mu szczęśliwa myśl wytlómaczenia swego nagłego przyjazdu: Oto celem jego podróży jest zawiadomienie rodziny o powtórnem zamążpójściu jego matki. Przy opowiadaniu tem rozplakał się bardzo szczerze, nie wiedząc dokładnie, czy te łzy spowodował ten hańbiący ojczym, czy też ona... Irena.

Ciotka Benisia bardzo pocziwie solidaryzowała z jego smutkiem, ukrywając, o ile mogła, w swoim poczuciu ładu życiowego, oburzenie na bezwstyd starej Horskiej, z którą — rzecz prosta — wszelkie stosunki towarzyskie odtąd miały być zerwane.

W Jędrzejewicach spadł na niego grom największy w jego życiu; ból ten jednak nie wycisnął w nim już żadnego bolesnego jęku; głowę

mu tylko pochylił i szarą, ciężką, wieczystą chmurą zamglił mu duszę, która od dnia tego słońca już nie znosiła.

Oto kiedy zaledwie okurzony nieco z drogi zbiegł po znanych mu tak dobrze schodkach tarasowych do ukochanego, opuszczonego niespełna przed tygodniem czarownego ogrodu — dowiedział się o wszystkim: Ireny w Jędrzejewicach już nie było. W dwa dni po jego wyjeździe, przyspieszając o kilka miesięcy swoje postanowione oddawna plany, wyjechała z matką i siostrami na naukę śpiewu do Włoch, a ewentualnie na zagraniczne występy w operze.

Ciotka Benisia zobowiązała się do stałej kilkoletniej zapomogi. Jaką miejscowość na pobyt wybrały — nikt nie potrafił, lub też nie chciał mu wyjawiać.

Pocziwy ksiądz Zalewski ze swoją Bogu duszę winną miną odegrał w tej delikatnej sprawie — niewiadomo z jakiego powodu — rolę enfant terrible.

To od niego dowiedział się Horski, że Irena w ciągu tych dwóch dni żadnego listu nie otrzymała i że nazajutrz po jego wyjeździe wśród przejażdżki czółnem na stawie — wpadła (?) do wody!

Upadek był wyjątkowo szczęśliwy, ponieważ po oceniu nie nabiawiła się nawet kataru.

Ksiądz Zalewski skonstatował przed Horskim, że wyjeżdżała za granicę bardzo niechętnie i że ustawicznie płakała.

Ciotka Benisia, domyślając się jakichś niepotrzebnych zeznań upartego w swoich indywidualnych zapatrywaniach życiowych księdza — przerwała ich króciutkie sam na sam.

Horski rozglądał się dokoła ogrodu: Pożółkłe liście, gonione chłodnym wiatrem, jedne za drugimi z drzew opadały... Jakieś nieciekawie panienki z sąsiedztwa z jakąś nieciekawą młodzieżą bardzo niezręcznie bawiły się w krokietu.

Miał wrażenie, że jest na ostatnich nieudolnych pustych przedsta-

wieniach kończącego się teatralnego sezonu, kiedy pierwsza już heroina — wyjechała, a pierwsze role w komedyi dublują od biedy drugorzędne sily.

Tegoż wieczoru opuścił Jędrzejewice. Za powrotem w Warszawie nareszcie coś mu się w życiu udało. Oto przez pośrednictwo kuryerka dowiedział się o wakującem dla studenta uniwersyteckiego miejscu stałego korepetytora w „dystygownym“ domu.

Śród niezliczonej liczby kandydatów hrabiostwo Otoecy — jego wybrali. Zawdzięczał to swoim zewnętrzny warunkom i ułożeniu, po którym znać było, według ogólnego pałacowego zdania (które miało całe jego życie charakteryzować), że „il ne mettra jamais les pieds dans les plats“, ponieważ widocznie miał za młodu bonę i własny pokój dziecięcy.

Podkreślał też zawsze tę swoją bonę, wyidealizowane dzieciństwo i dobrobyt w domu rodziców.

Zmienił jednak w opowiadaniach podmiejską dzielnicę Lublina, w którym się w fabryce urodził, na „Lubelskie“. Pochodził nie z Lublina, lecz z Lubelskiego. Uważał, że brzmi to bardziej „ziemiańsko“, niż mieszczański Lublin.

Zawdzięczał Otoekim, szczeniującym go stale życzliwością, Horski po skończeniu medycyny, przestawszy już być korepetytorem młodych hrabiów, którzy po bardzo wcześniej ukończonej a raczej przerwanej edukacji zgrywali się już teraz w karty we wszystkich najdystygowańszych europejskich klubach — zrobił w życiu co się zowie — karierę. Wszedł w praktykę lekarską całego high-life'u. Stał się modnym w sferze tout Varsovie. Należało do szyku twierdzić, że się jest jego pacyentem.

Jeno owa ołowiana chmura, która całym swym ciężarem mu duszę owinięła — nie puszczała go ze swych szpon. Każdy promień słońca, zasłyszany młodzieńczy śmiech, każdy powrót wiosny — rany mu rozkrwawiała.

— Nienawidzę radości, niecierpię się bawić — analizował swój stan, wyklamując się niezręcznymi wymówkami na najuprzejmniejsze zaproszenia.

— Zabawy mnie nudzą — parodksował — jedynie nuda bawj mnie. Czegóż ja właściwie chcę od życia? Przecież spełniły się moje marzenia lat najmłodszych. Zrobiłem w życiu karierę — sztydził, szczeniąc się sam przed sobą, że to kiepskie marzenie nie wystarcza mu, że najpiękniejszą cząstkę duszy złożył u

stóp tej swojej jedynej, którą mu życie jaknajbrutalniej na wieki odebrało.

Teraz i samotność zaczęła mu już ciążyć. A odpowiadające jego próżności i gustom estetycznym wielkie salony raziły go tą sztuczną, przesadnie grzeczną niegrzecznością, jaką najliberalniejsi wielcy panowie otaczają przyjmowanych u siebie ludzi, choćby najbardziej szanowanych, lecz nie należących do „ich sfery”.

— Możemy nawet stać się kochankami ich żon lub córek — cynizował trafnie jakiś zgorzkniały intruz wielkopańskich salonów — lecz nawet i wtedy nie przestaniemy nie liczyć się — wiecznie po za jakąś niewidzialną jedwabną nicią, nie do przebycia.

Lecz najbardziej nurtowała go nowa zmora: ów ogarniający tak często zawodowców sceptycyzm co do doniosłości swego zawodu. Utracił wiarę w skuteczność swojej pracy, której poświęcił życie; męczyła go bezsilność uzbrojenia w walce z potężniejszym od niego wrogiem w postaci chorób i śmierci, jakby szydzącej z jego wszystkich wysiłków nowej strategii i nowych armat świeżo zastosowywanych środków.

I nużyła go ta wieczna komedia udawania maga, dla którego wiedza nie ma żadnych tajemnic.

Odrzucając zaproszenia zimnych salonów, pomimo karyery, jaką zrobił, pomimo, iż był sławnym, zamożnym i modnym, uczuwał coraz bardziej swoje wykołajenie, spowodowane brakiem życia rodzinnego.

Stosunki jego z tak ukochaną ongi matką — były prawie zupełnie zerwane.

Ojczym Horskiego, młodzian bardzo kochliwy, w rok niespełna po ślubie — począł zaniedbywać swoją ostatecznie już postarzałą po urodzeniu Romka magnifikę. Biedaczka bardzo prędko przekonała się, że młody mąż ją zdradza, że jest w ciągłych mniej lub więcej jawnych romansach z żonami i córkami urzędników. Wreszcie, uwiódłszy młodziutką córkę pocztmistrza, wyfrunął z nią cichaczem do Rosji, gdzie znikł na zawsze, jak kamfora, zerwawszy z porzuconą żoną i z dwuletniem dzieckiem wszelkie stosunki.

Matka Horskiego z resztkami kapitaliku przeniosła się do sąsiedniego miasteczka. Założyła sklep spożywczy i z niewytłomaczoną wytrzymałością, która niewiadomo, jakim cudem zrodziła się nagle w tej rozpieszczonej przez pierwszego męża, gnuśnej ongi rozrzutnicy — zabrała się do pracy.

Parta miłością dla swego ukochanego Romka, przypominającego jej zdradnego męża, przez którego włosy jej posiwiała, a którego ona kochać nie przestała — zwyciężyła wszystkie przeszkody. Wychowywała syna, stała się człowiekiem; cierpiała, żyła.

Od starszego syna, którego stołeczna sława i dobrobyt rosły, jak na drożdżach, uparła się nie przyjmować złamanego szeląga. Było w tem trochę dumy i nieco poczucia się do winy, do której przyznać się nawet przed sobą nie chciała.

Horski od czasu do czasu przyjeżdżał do matki w krótkie odwiedziny z Warszawy, objuczony prezentami dla niej i dla Romka, przyjmowanymi z wiecznym sarkazmem.

— Ani te ubrania nie nadają się dla mnie, ani te zabawki nie są dla Romka. Mój drogi, zapominasz, że to wszystko, co nam przywozisz — to dobre dla twoich księżniczek i hrabin, a nie dla takiej hołoty, jak my.

Tego tonu nie porzucała odtąd z nim nigdy — spospoliała, zgrubiała w odmiennych warunkach życia i otoczenia, niepodobna już zupełnie do jego dawnego z dziecięcych lat, wypieszczonego ideału. I gdy na głowie stawał, siłąc się dla niej na uprzejmość, kiedy w Warszawie go odwiedzała — ona wydrwiwała go wciąż z ironicznie uśmiechniętym, solidaryzującym z matką Romkiem. Bardzo krzykliwa, bardzo shoking, iakgdyby podkreślała jeszcze z umy-

ślu wobec jego wytworności swoje złe manieri:

— Co? Oszalałeś chyba! Taka sklepiczarka z małego miasta, jak ja — ma zasiąść z tobą w łoży pierwszego piętra? Ależ ty byś umarł ze wstydu wobec twoich hrabin. Czyż te moje czerwone łapy, które mi kartofle i mąkę mierzę — są stworzone do wachlarza i białych rękawiczek? A mój kapelusz, moje uczesanie głowy, moje toalety? Zatrzymaj sobie swoją łożę; ja z Romkiem pójdę na galerję. Nie obawiaj się: nikt się nie dowie, że jestem twoją matką. Zresztą jestem zupełnie spokojną i domyślam się doskonale, że kiedy raczyłeś zaprosić mnie tu dziś do siebie na obiad — służba ma zapowiedziane, aby nie ważyła się drzwi przed nikim odrygłować. Twoje hrabiny zemdlałyby, gdyby ujrzaly, jaką ty masz matkę.

Doprowadziła go do tego, że faktycznie na samą myśl tych odwiedzin — zagryzał wargi; tak go męczyło to zamarłe uczucie, piętnowane brutalnie przez kochającą go możę w gruncie, niedelikatną, nieszczęśliwą matkę. I jedynie wskutek dawnego dla niej kultu i wrodzonej delikatności (a może i z wyrzutów sumienia, że jednak domysły matki są słuszne) — znosił męki Tantalą i ani razu słówkiem nie wybuchnął.

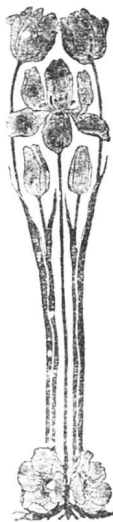
Taż sama kryta tajoną niechęć, pomimo wysiłków zobopólnych — murem chińskim oddzielała przyrodnich braci.

Dalszy ciąg nastąpi.

BOL. ZYGM. ZAHORSKI.

EROTYKI.

Ust, ust przesłodkich niespełniony kielich...



*Ust, ust przesłodkich niespełniony kielich...
Tam, w obcym sadzie zakwitły czereśnie
i lilie kwitną... Cudna, śnieżna biel ich...
...i róże kwitną... Marzę o nich we śnie — — —
Boję się snu utudy nieziszczonej dla mnie,
gdyż zawód serca krwią serdeczną broczy
więc jawą poję nieplaczące oczy — — —
(Jawa mnie rani, lecz nie zwodzi kłamnie).
Bezsenny, tulę skroń w piach, w glinę ziemi,
wysiłkiem woli zawisam na perci,
aż kiedyś przyjdzie — ręcy pieściwem
śmierć mi na głowę rzucić woal śmierci...
...Gdzieś lilie kwitną... Cudna, śnieżna biel ich
i róże kwitną — — w obcym dla mnie sadzie — —
Los znak milczenia na usta mi kładzie...
...Ust, ust przekrásnych niespełniony kielich.*

Najwyższe prawo.

15

POWIEŚĆ.

ROZDZIAŁ VI.

Pełnia szczęścia.

Mieli udać się pociągiem do Naimarabad, wielkiej stacji kolejowej w Równiach, gdzie odnalezienie ich przedstawiałoby znaczne trudności.

— A my będziemy opowiadali wszystkim, że pojechaliście do twojego kraju, do Peshawuru; i niech was tam potem Siryan szuka.

Rozśmiali się wszyscy, nie wyłączając Hamakhana i Dory, podnieconych myślą o niedalekiej zmianie, mającej nastąpić w ich dotychczasowym życiu.

Gdy znowu nastąpiła chwila milczenia, Dora spojrzała na Hamakhana i rzekła:

— Czy mogę przemówić do nich?

Hamakhan skinął głową z przyzwalającym uśmiechem. Wówczas Dora zabrała głos:

— Posłuchajcie! — wymówiła uroczyście — dzisiaj uratowaliście życie, które mi jest droższe, niż moje własne. Nigdy tego nie zapomnę i zawsze wam wdzięczną będę. Niezadługo pojedziemy do Anglii, mego ojczystego kraju. Tam Hamakhan będzie miał tyle pieniędzy i znaczenia, jakby był białym sahibem. Gdybyście kiedykolwiek byli w potrzebie, zwróćcie się do nas, a uczynimy dla was, czego zażądacie.

Mężczyźni słuchali tego przemówienia Dory z zapartym oddechem, z oczyma utkwionemi w nią. Gdy skończyła, jednogłośnie zawołali: „*Sharbash*“ (brawo) i poczęli klaskać w ręce.

W chwilę potem Dora wstała i weszła za ekran.

— Salaam — rzekła znikając. Odpowiedzieli jej „*Salaam*“ i wstali również, by się pożegnać. Gaida wyszedł ostatni. Rozstając się z Hamakhanem, ujął jego rękę w obie dłonie i ucałował go kilkakrotnie.

— Pilnuj, żeby żona twoja nosiła ciągle zasłonę, dopóki będziecie w Indiach. Niech niczyje oczy nie ujrzą jej pod żadnym pozorem; inaczey ani ty, ani ona nie zobaczycie nigdy Anglii.

Rzekłszy to, uśmiechnął się, uśmiechem, który opromienił jego twarz, prawie równie piękną, jak Hamakhana, i zniknął w ciemnościach.

Nowy dom, w którym zamieszkał po przybyciu do Naimarabad, zachwycił Dorę. Był znacznie większy, chłodniejszy i przyjemniejszy pod każdym względem, niż poprzedni.

Naimarabad jest ważnym punktem kolejowym w Równiach; posiada liczne zbiorowiska białych i wielkie, ludne, krajowe miasto.

Gdy pociąg zajechał na stację o trzeciej po południu, Hamakhan pomógł wysiąść Dorze z wagonu trzeciej klasy, w którym odbyli podróż wraz z innymi krajowcami, stłoczeni jak bydło wiezione na targ. Hamakhan wynalazł szczęśliwie kąci przy oknie dla Dory i usiadł obok niej. Ona, biedaczka, omotana podwójną zasłoną, dusiła się formalnie i odetchnęła z ulgą, gdy pociąg stanął na peronie.

Hamakhan pozbiierał wszystkie ich dobytek, składający się z trzech dużych tłomoków, wziął je na jedną rękę a dziecko na drugą i poszli szukać ławki, na której mogliby odpocząć.

— Poczekaj tutaj — rzekł Hamakhan, oddając Dorze dziecko i kładąc węzełki u jej nóg — a ja pójdę do miasta poszukać mieszkania. Nie byłem tu nigdy. Muszę się dobrze rozpatrzyć, nim co wezmę. A ty tu sobie posiedzisz spokojnie do mego powrotu.

Dora spojrzała na niego, jak stał przed nią prosty, smukły, wysoki w pasowym turbanie, którego długi koniec opadał mu w tyle z niezrównanym wdziękiem, niby warkocz na plecy dziewczyny.

— Tak, najdroższy — rzekła miękko. — Poczekam. Tylko ty się nie zamęczaj i posil się trochę. I Hama — dodała — postaraj się znaleźć jakiś ładny domek, gdzieś w pobliżu ogrodów, byle nie w środku miasta.

— Zobaczę — odpowiedział i zniknął.

Myślała, że poszedł i usadowiła się, jak mogła najwygodniej, w kąci ławki. Osłonięta szalenie białym welonem, a na to jeszcze drugą, czarną, cienką zasłoną, wyglądała ściśle na bezkształtny tłomok, jaki ze swojej żony robi muzułmanin w podróży.

Dla większego bezpieczeństwa ufarbowała sobie ręce na lekko brunatny kolor i obciążyła je szklanymi bransoletami, które jej kupił Hamakhan, chociaż nie wydawały mu się godne jego ukochaney, ale Dora była z nich zadowolona.

Peron zalany był światłem lejącym się obficie z otwartego końca stacji, i Dora z zajęciem śledziła panujący dokoła ruch i zamęt.

Z wagonu pierwszej klasy, tuż naprzeciwko jej ławki, wysiadało właśnie kilku sahibów w kaskach i w towarzystwie kobiet w białych słomianych kapeluszach i wytwornych, batystowych sukniach. Dora przyglądała się im ze szczerogłównem drżeniem serca. Tak niedawno, tak jeszcze niedawno była jedną z nich!

A dziś! Jakaż przepaść leżała pomiędzy nią a tem strojnem gro-nem.

Mężczyźni nadskakiwali paniom, rozsyłali posługaczy po orzeźwiającyce napoje i Dora usłyszała, jak ładna, młodzianka kobieta mówiła do pulchnego, łnianowłosego porucznika:

— Proszę cię, Tomie, nie trudź się; niczego mi nie trzeba — ale Tom, pomimo to, popędził do bufetu i zniknął w tłumie.

W tej samej chwili Dora uczuła, że ktoś dotyka jej ramienia. Podniosła oczy; Hamakhan stał znowu przed nią.

— Wypij to — rzekł rozkazująco, podając jej filiżankę herbaty, która spragnionej, zmęczonej, dławiącej się od kurzu i spiekoty Dorze wydała się boskim nektarem.

— Och! Hama! I po co się trudziłeś — zawołała z wdzięcznością — A ty? Pamiętałeś o sobie? Pewno nie.

— Nic nie szkodzi — odpowiedział. — Niczego mi nie trzeba; ale wiem, że ty lubisz bardzo herbatę.

I czekał cierpliwie, aż wypila, wsunawszy filiżankę pod zasłonę; poczem, nie zważając na lejący się z nieba żar, szukał gorliwie pożądanego schronienia dla swojej rodziny. Aczkolwiek nigdy o tem nie mówił, rozumiał on doskonale w głębi swej wrażliwej, dumnej duszy ofiary, jakie Dora dla niego poniosła.

Alboż nie była córką sahiba i generała? Alboż nie przywykła do pięknych komnat i jedwabnych sukien? a chociaż on był khanenem i uważał się za równego wszystkim, a wyższego od wielu, to nie mniej ta w zbytkach wychowana kobieta musiała dotkliwie cierpieć z powodu ubóstwa, które z nim tak chętnie dzieliła.

To też teraz postanowił wyżyć całą energię, aby znaleźć coś, co chociaż mogło być tylko chatyn-

ką wypłatacza mat, byłoby jednak schludnem i jakąś odrobiną zieleni umilonem, jak sobie tego Dora życzyła siedliskiem.

Chodził więc po całym mieście, rozpytywał i szukał na wszystkie strony, ale nic odpowiedniego znaleźć nie mógł. Wreszcie rzetelnie zmęczony zszedł trochę z głównego gościńca, zostawiając bazar po za sobą, i siadł przy bocznej drożynie, by nieco odpocząć i namyśleć się.

Słońce zaczęło już rzucać ukośne, pomarańczowe promienie; wiecór nadchodził. Trzeba było koniecznie znaleźć jakiś dach przed nocą; ale Hamakhan otrząsał się na myśl wprowadzenia Dory do którego z tych ponurych, wysokich, bezokiennych domów bazaru, gdzie z łatwością byłby mógł wynająć oddzielną izbę.

Po drugiej stronie ścieżyny, przy której siedział, leżało odłogiem pole, będące zaczątkiem Równi, która ciągnęła się het, daleko aż do następnego miasta.

Kępki daktylowych palm rosły gdziegdzie; a w pobliżu jednej z nich Hamakhan dostrzegł żółte, gliniane ściany i kwadratowy dach dość obszernej chaty. Była ona dość wysoką i otoczoną, niewielkim oparkanionym dziedzińczykiem. Na dziedzińcu rósł spory banan, którego długie, zielone liście ocieniały lepiankę, a sąsiedztwo daktylowych palm stanowiło uroczę tło dla tej maleńkiej siedziby.

Hamakhan wpatrzył się w nią z bijącym sercem. Jeżeli była do najęcia, to znalazł, czego szukał. I nagle przypomniały mu się wspaniałe, ukwiecone i wonne aleje w Jungpurze, które w cudne, rosą opłukane ranki chodził do córki Wilsonów.

Zapominając o zmęczeniu, zerwał się na równe nogi i szybko przeszedłszy drożynę, w mgnieniu oka znalazł się przy parkanie otaczającym dziedzińczyk. Odsunął plecioną furtkę i wszedłszy do środka, zaczął wołać, ale nikt mu nie odpowiedział. Chata była widocznie nie zamieszkała i otwarta. Wszedł więc i do niej. Pierwsza izba była obszerna i czyściutka, a za lekkim przepierzeniem z mat znajdował się drugi mniejszy, kwadratowy pokój z oknem, opatrzonym drewnianą, ażurową żaluzją.

Zupełnie zadowolony z oględzin Hamakhan opuścił chatę, starannie furtkę za sobą zasuując, i choć stopy obrzękły mu od chodzenia, a poddeszwy paliły nieznośnie, udał się z powrotem do bazaru, by wyszukać właściciela i wejść z nim, jeżeli się da, w układy.

Pokazało się, że cały ten obszar gruntu wraz z palmowym gaikiem i świeżo postawioną chatą należał do pewnego żyda, którego Hamakhan bez trudności odnalazł. Żyd wcale się nie kwapił z wynajęciem chaty, której dodatnie strony umiał dobrze ocenić, i twierdził, że musi ją zachować dla jakiegoś dawno już ubiegającego się o nią lokatora.

Ale miał inne domki, bardzo ładne w samym centrum bazaru „domki jak malowanie“, gdyby tylko Hamakhan chciał je obejrzeć. Pathańczyk jednak nie ustępował. Albo ten domek pod palmami, albo żaden.

Wówczas żyd zaśpiewał mu śmiesznie wysoką cenę, na co Hamakhan nic nie odpowiedziawszy zawrócił ku wyjściu. Nie doszedł jednak do drzwi, gdy żydek pobiegł za nim i schwycił go za rękaw.

Nastąpiły nowe targi, wreszcie Hamakhan zobowiązał się płacić pewną sumę miesięcznie, a żyd nawzajem oddawał mu chatę w wyłączne posiadanie, aż do wymówienia najmu we właściwym czasie.

Hamakhan zawiązał kopię kontraktu nabazgraną na kawałku papieru w róg turbana i podążył z powrotem na stację. Wiedział, że aby zapłacić komorne, będzie musiał pracować dwie godziny więcej dziennie, niż w Brishamgur, nie dbał jednak o to, bo był pewny, że domek będzie się Dorze podobał.

Przyszedłszy na stację, zastał ją siedzącą na tem samym miejscu, gdzie ją zostawił. Ujrawszy go krzyknęła radośnie. Hamakhan ledwo trzymał się na nogach ze znużenia; gruba warstwa kurzu okrywała mu twarz; uśmiechnął się jednak właściwym mu słonecznym uśmiechem:

— Pójdź — rzekł — pójdziemy do naszego domu.

— Musisz być strasznie zmęczony — zauważyła Dora. — Z pewnością za wiele chodziłeś.

— Nic nie szkodzi — odpowiedział. — Rad jestem, że znalazłem, co nam było potrzeba — i pobierawszy pakunki, odebrał dziecko Dorze.

Ona chciała się sprzeciwić.

— Nie! Nie! Nie dam ci nieść wszystkiego. Ja poniosę dziecko.

Wstrząsnął głową.

— To daleko. Zmęczysz się, a ja tego nie chcę.

Sam był bardzo zmęczony i wiedział, jak to nieprzyjemnie.

Gdy wyszli na gościńiec, słońce świeciło jeszcze jasno, ale skwar już minął.

— Znalazłeś coś odpowiedniego? — zapytała Dora.

— Tak; ujdzie — odpowiedział

pathańczyk krótko, a Dora myśląc, że rozmowa go nuży, nie pytała więcej.

Gdy wreszcie znaleźli się na ścieżce wiodącej do chaty, niebo było już zaróżowione, a liście palm wyglądały jakby uczynione ze szczyrego złota. Białe gołąbek krążył nad nimi, mieniąc się tęczowo w opalonym powietrzu.

Hamakhan przystanął.

— To tutaj! — rzekł.

Dora spojrzała na palmy, złączące się na tle różanego nieba, zobaczyła czyściutki, gliniane ściany również złote w świetle zachodniej łuny, na głęboką, soczystą zieleń wielkiego banana, który tworzył nad niemi jakby ruchomy balrachim, i wydała okrzyk zachwytu.

— Och! Hamakhanie! jak tu ślicznie! I my naprawdę tu mieszkać będziemy?

Obu rękoma uniosła zasłonę i spojrzała z po za niej na męża. Pathańczyk uśmiechnął się. Zapomniał o głodzie, zmęczeniu, popuchniętych nogach i wyschniętem z pragnienia gardle.

— Tak mi się tu podoba — szepnęła Dora.

— Pójdź, pójdź, zobaczysz; tam jest i dziedzińczyk sam w sobie — odpowiedział Hamakhan z naiwną, radosną dumą i oboje weszli do środka rozpromienieni i szczęśliwi.

Hamakhan złożył pakunki w kącie i oprowadzał Dorę po nowej siedzibie, pokazując jej wszystkie jej piękności.

— Patrz; tu będziesz sobie mogła siadywać bez zasłony pod tym bananem, a tu urządzimy ogródek. Przyniosę ci kwiatków z bazaru i zasadzisz je sobie, jak zechcesz. Jutro wyłożę całą tę część dziedzińca matami, żebyś miała zawsze czysto i wygodnie do siedzenia, w chacie także, wszędzie. Zobaczysz, jak będzie ślicznie.

Dora stała, patrząc na niego, gdy jej to wszystko pokazywał i rozpowiadał z błyszczącymi z uciechy oczyma, potem odrzuciwszy zasłonę, zbliżyła się do niego.

Wyglądała w tej chwili bardzo pięknie, a jemu w tem różanym świetle wydała się istną perłą z raju, ze swą złocistą włosami, śnieżną twarzą i błękitem oczu.

— Dziękuję ci, Hama! z całego serca dziękuję! — rzekła miękko. — Tyś taki dobry, a ja taka szczęśliwa!

Pathańczyk pochylił się; otoczył ramieniem jej kibić i spojrzął jej w oczy przeciągle. Nie mógł się im nigdy napatrzeć do woli, tym cudnym, błękitnym oczom, błękitniej-

szym od turkusów z jego ojczystych gór i od wschodniego nieba.

— Więc naprawdę będziesz tu szczęśliwą, życie mego serca? — szepnął, a Dora, patrząc na niego, odrzekła:

— Bardzo! bardzo szczęśliwą.

Gdy już wszystko obejrzel i wszystkim się nacieszyli, Hamakhan rozwinął jeden z tłumoków.

— Pójdę teraz po wodę—rzekł, biorąc worek z koziej skóry — to tu niedaleko, pomiędzy temi palmami.

Dora, zostawszy samą, rozejrzała się jeszcze raz dokoła z pełnym zadowoleniem, poczem uśmiechnęła się do własnych myśli.

— Coby też powiedzieli moi rodacy, gdyby mnie tu zobaczyli? Jakby się tu czuły te kobiety, którym się zdaje, że nie mogłyby wyżyć bez firanek, dywanów, wizyt i plotek? A przecież w gruncie rzeczy to życie nuży je i nic w tem dziwnego.

Pamiętam, że w Jungpurze, tamtejsze panie i panny ożywiały się tylko wtedy, gdy jaki mężczyzna wszedł do pokoju. Po za tem zawsze były znudzone i kwaśne. A mimo to będą się trzymać swoich dywanów i firanek, i wizyt, i poświęcą główną treść życia dla tych wszystkich blahostek.

I roześmiała się znowu, myśląc o tych strojnych *ladies* w batystach, które widziała na stacyi, i pośród których tam niedawno jeszcze znajdowała się sama. Tak, pośród nich, ale jedną z nich nie była nigdy.

Rozpakowała składane łóżko i, ustawivszy je, przy ścianie, położyła na niem dziecko, poczem zakrzatnęła się koło przyrządzenia wieczerzy, pragnąc, by Hamakhan posilił się jaknajprędzej.

Wydostawszy z pomiędzy kuchennych naczyń sporą, cynową miszkę, napełniła ją węglem drewnianym z woreczka i po roznieceniu ognia poczęła gorliwie poruszać nad nim wachlarz z piór. Właśnie węgle buchnęły płomieniem, gdy Hamakhan powrócił, dźwigając ciężki, skórzany bukłak napełniony wodą.

Uśmiechnął się zobaczywszy ogień i zaraz jął lać wodę do stojących na ziemi kociołków i misek.

— No, teraz jesteśmy u siebie—rzekł z westchnieniem ulgi, siadając obok Dory.

Ona zaśmiała się wesoło, nie przestając wachlować ognia.

— To tak przyjemnie, że mamy ten dziedzińczyk i że można robić to wszystko na otwartem powietrzu. Dotychczas prawie, że nie byliśmy w chacie.

Hamakhan z wielkiem namaszczeniem wydobywał z tłumoka i ustawiał talerze i filiżanki. Przejął on

już wiele europejskich zwyczajów od Dory, jak ona niejeden wschodni od niego, i teraz już oboje jadał na oddzielnych talerzach, posługując się sztućcami. Dorze przysparzało to pracy ze zmywaniem tych naczyń, ale uważała to za konieczne, teraz, gdy już tak blizką była przyszłość tego cywilizowanego życia, jakie ich czekało.

Hamakhan był nadzwyczaj pojętym uczniem. Spełniając życzenie Dory, kupował talerze, noże, widelce i łyżki na bazarze, poczem parę razy przypatrzył się uważnie, jak jadła, w jakj sposób trzymała nóż i widelec i jak skończywszy jeść, kładła przybór z boku na talerz i po upływie dwóch dni potomek pathańskich królów jadł tak poprawnie, jakgdyby go od dziecka angielskie miańki chowały.

— Masz już wszystko, czego potrzeba? — zapytał, gdy już poustawiał naczyńia i na jednym talerzu położył kurę, kupioną po drodze w bazarze, a na potakujący znak Dory wziął duże naczynie z wodą i poszedł umyć się pod palmami, gdyż prawdziwy muzułmanin wolałby raczej umrzeć z głodu, niż zasiaść do jedzenia z brudną twarzą i rękoma.

Wprędce powrócił świeży i promieniejący i zastał Dorę wciąż zajęta gotowaniem.

— Może ci pomódz? — zapytał Hamakhan.

— Pomódz? Nie, nie potrzeba. Dostyc się już i tak napracowałeś. Połóż się teraz i odpocznij.

Hamakhan nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i rzucił się na posłanie obok dziecka.

Po wieczerzy Hamakhan i Dora siedzieli długo przy świetle księżycy na dziedzińcu, rozmawiając o różnych planach na przyszłość i patrząc w przepyszne, jakby drogami kamieniami wysadzone niebo. Piękno przyrody otaczało ich czarodziejskim kręgiem, a pełnia szczęścia przepajała dusze.

Cały następny dzień Hamakhan poświęcił wyściełaniu chaty matami. Zbudził się, jak zwykle, o świcie, zostawiając Dorę jeszcze śpiącą. Słońce złoćiło już delikatnie zroszone Równie, gdy powrócił z miasta, niosąc ogromny pęk palmowych włókien i zastał Dorę przyrządzającą śniadanie.

Zapach gorącej kawy unosił się w chłodnem jeszcze, rannem powietrzu. Pathańczyk nigdy przedtem nie kosztował żadnego innego napoju prócz wody, ale przy Dorze nauczył się pić kawę i herbatę.

Zjedli śniadanie zarówno jak wczorajszą wieczerzę na dworze, oddychając cudnem, rześwem powie-

trzem, skapanem w perłowem świetle. Palmy chwiały nad nimi swe gibkie liście, a białe gołębie krążyły, gruchając miłośnie.

Po śniadaniu Hamakhan wziął się do plecienia mat, zaczynając od tylnej izdebki. Dora, uszczęśliwiona, że go ma cały dzień w domu, siedziała naprzeciwko niego, przypatrując się robocie.

Pathańczyk siedział na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, a jego zręczne palce szybko i pracowicie splatały wązkie paski palmowych włókien, przykrywając po kawałku twardo ubitą, glinianą podłogę.

I nagle, przyglądając mu się w milczeniu Dorę ogarnęło dziwne uczucie:

Przed rokiem siedziała tak w salonie swojej bungli w Jungpurze. Ten sam delikatny półmrok panował dokoła; paski palmowe szeleściły tak samo w splatających je palcach; ta sama słodkawa, zapach świeżo skoszonego siana przypominająca woń unosiła się w powietrzu; ta sama wspaniale piękna postać siedziała na ziemi, pracując w milczeniu.

Chyba to musiało być wczoraj! Chyba to jest ta alkowa w domu jej ojca, którą ten wyplatacz o torsie Apollina pokrywa nowemi matami!

Ale nie. Rok upłynął od tego czasu, rok niecofniony, jak bieg wody. Ona była już matką i żoną tego człowieka i nikogo prócz niego nie miała na całym świecie. Jej własny świat wyrzekł się jej i dopóki pozostanie w Indjach, rodacy jej stronić od niej będą, jak od zapowietrzonej. Nie była już i nigdy już być nie mogła swobodną, wypieszczoną, o nic nie dbającą dziewczyną, przed którą wszystkie rozkosze cywilizowanego świata stały otworem.

A jednak, zdawało jej się, że ten rok wcale nie istniał i ów pierwszy dzień poznania z Hamakhanem stanął jej tak żywo w pamięci, jakgdyby to było wczoraj.

I mimowoli lzy napełniły jej oczy, gdy pomyślała o tych niepowrotnie minionych dniach w Jungpurze, kiedy jeszcze nic się nie stało, a jutrujenka miłości wschodziła nieśmiała i wstydliva nad jej dziewiczem sercem.

Hamakhan zdawał się być na pozór całkowicie pochłonięty robotą, ale gdy oczy Dory zwilgotniały, wstał i przystąpił do niej.

— Myślisz o Jungpurze?—rzekł z właściwą mu przenikliwością, siadając tuż przy niej i obejmując ją ramieniem. — Przypomniało ci się to wszystko na widok mojej roboty? Czy chciałabyś tam powrócić?

Dalszy ciąg nastąpi.

Miś polityk.

Za dobrych dawnych czasów Miś przeważnie myślał o zrobieniu kariery lekarskiej. Marzył, że zostanie lekarzem, skupiającym koło siebie klientelę wszystkich wstw. Już będąc kiedyś z wizytą w Konstancinie, oglądał miejsce, gdzie postawił sobie wille. Niemordowanie był na różnych zebraniach i wieczorach, tańcząc z młodszymi i starszymi damami, każdej zaś mówił z ciepłym przejmującym w głosie:

— Ach, jak pani do twarzy w tej sukni. I co za uczesanie! Bogini, jak Boga kocham, bogini śliczna z pami.

Gdy mu któraś z rozsądniejszych na ten zdawkowy frazes odpowiedziała grymasem — nie zrażał się wcale. W głębi duszy bowiem wyznawał zasadę, że nie ma takiego głupstwa, któreby po stokrotnem powtórzeniu nie utarło się i nie zrobiło pożądanego wrażenia.

Doktór Miś zdawał się już dopływać do portu swoich marzeń. W przedpokojku jego wprawdzie nie tłoczyli się chorzy, żądni porad, ale doktor Miś potrafił zainteresować swoją osobą finansyerę i trochę arystokracji. I to nie dla swoich zalet fachowych, lecz raczej stało się to dzięki zaletom osobistym. Doktor Miś wpadł w oko damie już leciwej, ale ustosunkowanej. Wynosić zaczęła pod niebiosą jego inteligencyę, jego wiedzę, trafność dyagnoz, ułożenie, słowem, w pewnych kołach na herbatkach, wieczorach i rautach o niczem innem nie mówiło się, jak tylko o tem, co powiedział doktor Miś o każdej rzeczy.

Głupstwo, powtórzone przez starzejącą się piękność, nabierało wdzięku: w każdym razie, salon pasował tę tępawą drobnostkę na rzecz oryginalną, brał za rzecz świeżą, otaczał urokiem.

Ach, te salony warszawskie!

Lecz oto rozszalała się wojna. Zaczęło się życie z początku podziemne na szeroką skalę, a później po wejściu Niemców zainteresowania polityczne wypływały na widownię i zaabsorbowały na dobre znaczny zastęp ludzi. Doktor Miś nie ubiegał się o żadne laury na tem polu, gdyż ciągle przypuszczał wraz z salonami, że tato może powrócić, więc począł psuć sobie przyszłość. I gdy w salonach mówiono o tworzeniu się stronnictw, o zmianie w poglądach różnych ludzi, doktor Miś stale był oryginalnym i na wszystko odpowiadał:

— Nic mnie to nie obchodzi.

Materyalnie jednak zaczęło się doktorowi Misiowi wieść coraz gorzej. Koledzy Misia, mniej układni, zostali powybierani do Rady Miejskiej, innych zastępczo też różnymi odpowiedzialnymi funkcjami społecznymi, a doktor Miś był ciągle oryginalny i patrząc w zielone oczy swojej podstarzałej piękności, już bez przekonania powtarzał:

— Nic mnie to nie obchodzi.

I stała się rzecz niezwykła. Razu pewnego młodzianka, zalotna osóбка zapytała doktora Misia, czy nie wie, z jakich stronnictw politycznych składa się C. K. N. Doktor Miś odpowiedział szczerze: nie wiem.

Młoda osóбка rozniosła wnet po salonie, że doktor Miś musi być bardzo zaangażowany w polityce, skoro odpowiada: nie wiem.

Uwierzyła też w to i piękna starzejąca się jejmość, co wyprowadziło ją z równowagi.

— Jak śmie przed nią ukrywać rzeczy tak ważne. I śliczną panią pytają ciągle o uchwały N. K. N., o referaty w Lidze czy Stronnictwie Pracy Narodowej. Nic nie może odpowiedzieć, bo niewiele wie.

Wzięła więc na spytki doktora Misia. Wyznał szczerze, że go to dotychczas nie nie interesowało, ale teraz wstąpił natychmiast do jakiegoś stronnictwa, by mógł być à jours co do różnych informacji politycznych. Oburzyła się na to piękna jejmość.

— Tu chodzi o całą twoją karierę, nie zaś tylko o informację. Trzeba, żeby cię wybrali do jakiej komisji, żebyś reprezentował jakiś kierunek polityczny.

Doktór Miś srodcie się zmartwił. Od szkół średnich zaczynając, stronił od wszelkiej polityki, gdyż to mogłoby mu popsuć karierę, aż tu, rzecz dziwna i niesłychana, dziś mu przekładają, że tylko polityka może mu utworzyć drogę do kariery. I kto to robi! Kobieta kochająca.

Długo rozmyślał doktor Miś, długo się w sobie mocował. Wreszcie wstąpił do partii. Było już jednak trochę zapóźno. W przemówieniach politycznych nie mógł się zorientować, gdyż nie znał nawet nomenklatury różnych stronnictw. Wziął się jednak do pracy. Zaprosił do siebie jednego z młodszych kolegów z partii, chcąc go dyskretnie wypytać, wybadać, wysondować.

Traf zdarzył, że później poszli do teatru, gdzie na doktora Misia czekała piękna starsza pani. Doktor Miś przedstawił swojego kolegę z partii i chcąc się pochwalić nabytą erudycją polityczną, zaczął rozmowę:

— Pan przypuszcza, że będziemy mieli już niezadługo regenta?

Na pytanie to kolega z partii zarzucił doktora Misia bogactwem swojej elokwencyi. Piękna pani słuchała wniebożnięta. Gdy wychodzili z teatru, oparła się już na ramieniu kolegi. Doktor Miś nie zwrócił na to specjalnej uwagi. Dopiero w dni kilka przekonał się już zupełnie dobitnie, że musi znów rozpocząć swoją karierę od początku.

Dziś doktor Miś jest już politykiem, a nawet nauczył się na pamięć, ile stronnictw obecnie mamy w Polsce.

Firlej.



Z literatury.

Rok Polski.

W Krakowie zaczął wychodzić miesięcznik p. t. „Rok Polski”, poświęcony zagadnieniom życia narodowego. Redaktorem i wydawcą jest prof. dr. August Balasits. Zadaniem pisma jest utrzymanie jedności między zaborami i tę jedność wzmocnić, gdyż „trzeba powołać wszystkie dzielnice do współdziałania, do naprawdę harmonijnej współpracy”. Dotychczas wyszły 4 zeszyty. Znajdujemy w nich prace tak poważnych polityków, uczonych i publicystów, jak St. Głąbiński, R. Rybarski, Fr. Rawita-Gawroński, Ant. Chotoniowski, Kazimierz Morawski, Ignacy Chrzanowski, Mikołaj Rudnicki, Z. Kirkor, Jan St. Bystrzyński. Prace zasługują na wyróżnienie: O romantyzmie i pracy organicznej, Zjednoczenie gospodarcze państw centralnych, Państwo Kongresowe, Znaczenie dostępu do morza, oraz Zmiany w stosunkach narodowościowo-ludnościowych na ziemiach polskich od upadku Rzeczypospolitej. „Rok Polski” jest dziś stanowczo najpoważniejszym miesięcznikiem polskim, będącym wyrazem głębokich trosk o przyszłość naszą narodową.

Na stokach cytadeli.

Pamięci Józefa Mireckiego poświęcił swoją książkę Gustaw Daniłowski p. t. „Na stokach cytadeli”. Dał w słowach ciepłych życiorys tego bojownika sprawy robotniczej w Polsce i podkreślił jego ukołowania narodowe, dla których poświęcił swoje młode, bujne życie. Józef Mirecki brał czynny i wybitny udział w działalności bojowej organizacji Polskiej Socjalistycznej Partii. Z książeczki Daniłowskiego dowiadujemy się, że Mirecki dowodził opanowaniem pociągu pod Pruszkowem, był w zamachu na stacyi Łapy i po szeregu podobnych czynów został aresztowany przez władze żandarmskie, idąc ulicą w Warszawie. Wskazał go żandarmeryi prowokator, Charewicz. Władze wytoczyły mu cały szereg procesów, nie mogły mu jednak niczego dowieść. Wreszcie został Mirecki skazany na śmierć, gdyż prokurator oświadczył sędziom zgóry: „Sędziowie, wyrok gotowy, należy go tylko podpisać”. Książeczka p. Daniłowskiego zasługuje, by poznały ją jaknajszersze warstwy naszego społeczeństwa.

Na wyspie Qui-pro-quo.

Młody felietonista, p. Radwicz, napisał krotkość p. t. „Na wyspie Qui-pro-quo”. Akcja toczy się wartko i niefrasobliwie. Postacie, trzymane w rysunku farsowo-karykaturalnym, bawią czytelnika i zapewne na scenie zyskałyby jeszcze na humorze, gdyż p. Radwicz ma zmysł sytuacji. Krotkość Qui-pro-quo w każdym razie świadczy o talentach scenicznymi p. Radwicza i powinna poprowadzić jego zdolności w tym kierunku.

